

Magdalena Gawin: Ucieczka myślenia z uniwersytetu

Dla większości studentów lata edukacji wyższej stały się okresem przejściowym, rodzajem przymusowej kwarantanny przed podjęciem pracy. Wymownym świadectwem tego zjawiska jest lament dydaktyków, że studenci nie czytają lektur, ściągają z bryków, przepisują z internetu prace pisemne, słowem: oszukują siebie i wykładowcę – pisała Magdalena Gawin w książce „Bilet do nowoczesności”.

Polska przoduje w niechlubnym rankingu krajów przeznaczających najmniejsze dotacje na sektor nauki. W spadku po PRL-u odziedziczyliśmy instytuty oraz jednostki badawczo-rozwojowe, na które po prostu brakuje pomysłu. Panuje w nich marazm i przyzwolenie na bylejakość. Co zrobić, żeby polskim instytucjom naukowym, zwłaszcza uniwersytetom, przywrócić należną rangę? Jak kształcić studentów, aby czerpali na uniwersytecie wiedzę, która pomoże im odnaleźć się na rynku pracy, a jednocześnie nie obniżyć poziomu nauczania? Pytania te przyświecały zarówno autorom obecnej reformy nauki, jak i jej krytykom[1].

Po upadku komunizmu pierwszy etap transformacji ustrojowej został podporządkowany budowie wolnego rynku i dezindustrializacji Polski w zgodzie z panującym wówczas poglądem, że nowoczesny kapitalizm potrzebuje usług, nie przemysłu. Na pierwszych stronach gazet zajmowano się likwidacją kopalń, PGR-ów i nierentownych przedsiębiorstw. Nauką na dobrą sprawę nie zajmował się nikt. Wydawało się, że samo otwarcie na Zachód uzdrowi polskie uczelnie, a system pracy w instytutach badawczych zreformuje się sam pod naporem napływającej zewsząd nowoczesności. Po dwudziestu latach transformacji ustrojowej możemy śledzić katastrofalne skutki tych zaniechań. Na uczelniach technicznych naukowcy borykają się ze starym, zużytym sprzętem, brakiem odczynników laboratoryjnych, często i samych laboratoriów. Humanieści od lat uprawiają chałupnictwo, nie mają komputerów, drukarek, skanerów, projektorów,

nie mówiąc o sprzęcie dokumentacyjnym. Dostęp do cyfrowych baz danych lub sieci umożliwiającej szybkie przeszukiwanie katalogów pozostaje na uczelniach wyższych limitowanym luksusem. W krajach Unii Europejskiej czy USA na dotację statutową, czyli pensje dla pracowników, infrastrukturę, finansowanie badań w poszczególnych ośrodkach, przeznaczają się 13–15 proc. budżetu, około 60 proc. na granty badawcze. W Polsce ta tendencja jest dokładnie odwrotna. Od 65 do 70 proc. budżetu, wylicza profesor literatury Włodzimierz Bolecki, kieruje się na dotację statutową, a skromną resztę na granty. O wysokości pensji adiunktów i profesorów rozstrzygają widełki z rozdzielnika, a nie indywidualne osiągnięcia. To najlepszy dowód na to, mawiają krytycy obecnego systemu, że polskie uczelnie i instytuty badawcze są niekonkurencyjne, nieinnowacyjne, źle zarządzane. Nic dziwnego, że młodzi naukowcy wybierają emigrację. Zdolny matematyk, ambitny filozof czy odnoszący sukcesy chemik wyjeżdżają za ocean lub na uniwersytety niemieckie, francuskie lub angielskie. Mamy do czynienia z drenażem ludzi uzdolnionych i dobrze wykształconych. Najczęściej decyzja o wyjeździe nie jest dla nich łatwa. Wyjeżdżają, bo muszą.

W 1989 roku zaledwie 7 proc. społeczeństwa miało wyższe wykształcenie. W przedziale dwóch dekad (od 1990 do 2010 roku) liczba studentów w całej Polsce powiększyła się pięciokrotnie

Jednocześnie na kryzys polskiej nauki nałożył się niespotykany wcześniej boom edukacyjny. W 1989 roku zaledwie 7 proc. społeczeństwa miało wyższe wykształcenie. W

przedziale dwóch dekad (od 1990 do 2010 roku) liczba studentów w całej Polsce powiększyła się pięciokrotnie, podczas gdy liczba pracowników naukowo-dydaktycznych wzrosła niewiele ponad 33 proc. Szcupłe grono dydaktyków obsługuje dzisiaj milionową rzeszę studentów. W efekcie tego obniżyły się standardy nauczania, zwłaszcza na uczelniach prywatnych, na których wykład dla setek studentów i „taśmowy” system egzaminowania jest normą. W takich warunkach indywidualny kontakt studenta z wykładowcą jest chwytem reklamowym, wiarygodnym jak reklama mleczka do czyszczenia AGD, pod dotknięciem którego rozklekotana kuchenka staje się nowa i

błyszcząca. Wiadomość, że nawet najlepsze polskie uczelnie, jak Uniwersytet Warszawski i Uniwersytet Jagielloński, sytuują się w czwartej setce (ranking szanghajski) uczelni na świecie, pozbawiła nas złudzeń, że kryzys dotyczy uczelni prywatnych lub małych prowincjonalnych ośrodków. Profesor politologii Rafał Matyja zwrócił uwagę na pewien paradoks, że utytułowani eksperci od transformacji, akceptujący najbrutalniejsze konsekwencje społeczne modernizacji, sami pracują w instytucjach naukowych przypominających pod względem efektywności peerelowskie PGR-y. Marazm w badaniach i masowość nauczania – tak skrótowo można by opisać sytuację polskich uczelni wyższych.

Masowy student, znaczy jaki?

Jeszcze kilka dekad wstecz młodzi ludzie, podejmując studia na kierunkach humanistycznych, chcieli zaspokoić własną ciekawość, dojrzeć intelektualnie i emocjonalnie. Obecnie wszystko zostało podporządkowane pragmatyzmowi, przede wszystkim budowaniu CV pod kątem przyszłej pracy: „Stąd też uczelnie stały się pasażami, w których studenci pojawiają się i znikają, ponieważ udają się na drugi fakultet, do pracy, działają jako wolontariusze, zdobywają jakieś doświadczenie – wszystko fluktuuje, ponieważ o wszystkim rozstrzyga wszechogarniający pragmatyzm” – mówi profesor filozofii Tadeusz Gadacz[2]. Presja rynku na kierunkach *ex definitione* nierynkowych sprawiła, że sami studenci nie traktują już studiów jako okresu wyjątkowego w ich życiu, przeznaczonego na czytanie lektur czy doskonalenie umiejętności pisania. Dla większości z nich lata edukacji wyższej stały się okresem przejściowym, rodzajem przymusowej kwarantanny przed podjęciem pracy. Wymownym świadectwem tego zjawiska jest lament dydaktyków, który niesie się od Gdańska po Wrocław, Białystok i Warszawę, że studenci nie czytają lektur, ściągają z bryków, przepisują z internetu prace pisemne, słowem: oszukują siebie i wykładowcę. Chcą odbębnić studia i pójść dalej.

Liczy się trwanie, efekt nie ma znaczenia

Panuje zgoda, że najlepsze nawet rankingi obciążone są licznymi błędami. Nie uwzględniają lokalnej specyfiki, czerpią dane z różnych, nieraz sprzecznych ze sobą źródeł. Zestawiają obok siebie instytucje, w których system pracy jest różny i nastawiony na odmienne cele. Nauki empiryczne mają naturalne przełożenie na biznes i gospodarkę, podczas gdy kierunki humanistyczne na ogół nie. Dlatego właściwym adresatem pytania o stan placówek badawczych są młodzi naukowcy, którzy odbyli długie staże zagraniczne. Po powrocie do macierzystych instytucji w kraju z dużą dozą ostrości dostrzegają słabości polskiego systemu. Naukowcy ci przemówili w książce Izabeli Wagner *Becoming transnational professional. Kariery i mobilność polskich elit naukowych*[3].

Jednym ze stale powtarzających się wątków w opiniach młodych badaczy jest odcięcie macierzystych placówek, zwłaszcza mniejszych, od współpracy z zachodnimi ośrodkami, brak merytorycznej współpracy w zespole i środowiskowa zawiść. Jedna z rozmówczyń mówi:

„...po powrocie zaczęłam mieć problemy ze swoim środowiskiem. Po powrocie okazuje się, że człowiek zaczyna być postrzegany jako konkurencja. (...) [P]o stypendium, kiedy oni zauważają, że zna się zupełnie inna literaturę – której oni nie znają, że się porusza w pewnej przestrzeni, do której oni nigdy nie dotarli, nawet jeżeli jeździli na Zachód, to było to 20 lat temu, to były zupełnie inne wyjazdy (...), wtedy zaczyna się problem. Zaczyna się udowadnianie, że nic się nie wie albo że trzeba człowieka odsadzić, można mu dać gorsze zajęcia albo nie dać w ogóle, i można człowieka wywalić z roboty. I to niestety jest powszechne, im mniejszy ośrodek, tym jest gorzej, bo w Warszawie to jest jednak mnóstwo osób zaangażowanych politycznie albo w pola eksperckie, to osoba, która wróciła z zagranicy, nie jest żadnym zagrożeniem, bo oni mają swoje własne obszary działalności. Ale w innych miastach – to jest wielki problem”[4].

Powracający ze stypendiów skarżą się, że ich wyjazd nie został właściwie wykorzystany, doświadczenie z zagranicznego stażu na ogół zmarnowane:

Nauki empiryczne mają naturalne przełożenie na biznes i gospodarkę, podczas gdy kierunki humanistyczne na ogół nie

„Ja tu wracałem z bardzo dużymi nadziejami – mówi inny anonimowy rozmówca. – Porównując też do kolegów, których tam poznałem za granicą,

to oni wracali do swoich krajów, jeśli nie na lepsze pozycje – bo im oferowano lepsze pozycje – to na jakieś stanowiska, z których oni mogli realizować, to czego się nauczyli, natomiast w Polsce, a co najmniej w ośrodku, do którego wróciłem, nie stworzono mi żadnych możliwości realizacji tego, czym mógłbym się zajmować. Wręcz musiałem walczyć o to, żeby wrócić po prostu do pracy – zajmować się tym, czym przed wyjazdem”[5].

Reprezentanci nauk empirycznych mówią o marnowaniu całego potencjału badawczego, z którym wrócili, feudalnych stosunkach na uczelni oraz braku perspektyw indywidualnego rozwoju i zawodowej kariery:

„Tam [w USA – aut.] ludzie dokładnie wiedzą, to nawet nie jest napisane, to jest w powietrzu, to każdy z nich wie po prostu, że jak zrobi dobrze doktorat, to pójdzie na dobrego post-doca i później albo zostanie profesorem, albo dostanie dobrze płatną posadę w przemyśle. A u nas tego przełożenia nie ma. Raczej w powietrzu wisi – jakoś to będzie, bo i tak nie będzie to zależało ode mnie”[6].

Wśród humanistów odzywały się głosy wskazujące na istnienie sztywnych, nieprzekraczalnych barier dyscyplin, wskutek czego filozof nie rozmawia z historykiem ani socjolog z literaturoznawcą, politolog zaś nie ceni pracy historyka. Próba przełamania tych barier kończy się na ogół niepowodzeniem i przyjęciem konformistycznej postawy:

„Ten nowy kierunek mnie fascynuje, ale nie mogę zmienić, bo nasza nauka jest chora. Nasza nauka jest chora, ponieważ siedzą tam te stare dziady, za przeproszeniem, i są pewne struktury, oni tam mają moc

decyzyjną; to chodzi między innymi o habilitacje” [7].

W zebranych głosach wskazywano, że uczelnie stają się szkołą konformizmu z przyczyn czysto praktycznych – lęku przed utraceniem habilitacji. Los nowatorskich badań zależy od kaprysu i dobrej woli kierownika zespołu czy pracowni. Nad publikacjami zespołowymi zwykle się nie dyskutuje, nie omawia się ich słabych i mocnych stron. Chodzi o to, żeby były, ich merytoryczna wartość nie podlega żadnej ocenie.

„Moja ocena tego, w jaki sposób funkcjonuje nauka w Polsce w porównaniu z tym, w jaki sposób funkcjonuje nauka w Stanach Zjednoczonych w tych miejscach, które znam, polega na tym, że tam liczy się efekt, a tu liczy się trwanie” [8].

Reforma nauki – ratunek czy katastrofa?

Żeby przerwać system stagnacji polskiej nauki, opracowano reformę, która etapami wdrażana jest do polskich uczelni i placówek badawczych. Na uniwersytetach jedną z pierwszych zmian było wprowadzenie procesu bolońskiego, polegającego na dwuetapowym kształceniu wyższym. Trzyletnia szkoła zawodowa (licencjat) plus dwuletnia specjalizacja (magisterium). Proces Boloński na poziomie kształcenia licencjackiego oznacza poważne uszczuplenie nauczania, na niektórych uczelniach, np. medycynie, nie można go było wprowadzić zupełnie. Na wydziale historii spowodował *de facto* zaniechanie kształtowania warsztatu historyka polegającego na pracy z przekazami źródłowymi. Argumenty za prowadzeniem dwuetapowego kształcenia wskazywały, że nowy system zwiększy mobilność studentów (po trzech latach nauki w kraju mogą wybrać dowolną uczelnię europejską, by na niej kontynuować edukację), radykalnie podwyższy statystyki ludzi z wyższym wykształceniem (wytyczne Unii Europejskiej), wyprodukuje odpowiednią liczbą fachowców, poza tym dobrze funkcjonuje od lat zagranicą. W opinii pracowników naukowych dwuetapowy system kształcenia nie zwiększył znacząco mobilności studentów, ale zdecydowanie obniżył prestiż studiów wyższych. Polska prowincjonalna zaroła się od uczelni wyższych dających licencjat, ale których poziom pozostawia wiele do życzenia.

*Czyżby do grona filatelistów i
wielbicieli złotych rybek mieli
dołączyć piszący książki
humaniści?*

Innym nurtem
reformy była
parametryczna
ocena dorobku
pracowników
naukowych.

Znaczenie punktacji

ma niebagatelne znaczenie, ponieważ liczba punktów może być podstawą przyznania habilitacji. W zamieszaniu lub, kto woli, bałaganie przyjęto wspólne kryteria dla nauk humanistycznych i empirycznych, które dostosowano do potrzeb tylko tych ostatnich. Co to oznacza dla humanistów? Monografia będąca efektem żmudnej kilkuletniej kwerendy archiwalnej, prasowej, literatury polskiej i obcej oceniana jest na dwanaście punktów, podczas gdy za jeden artykuł w języku polskim w najlepiej punktowanym czasopiśmie przyznanych jest dziewięć punktów. Za monografię w języku angielskim można otrzymać dwadzieścia cztery punkty, ale za jeden artykuł w czasopiśmie z listy filadelfijskiej sześć punktów więcej. Recenzja, od pisania której zaczynały całe pokolenia humanistów i która stanowi istotny wkład do naukowych czasopism, oceniona została na zero punktów, podobnie jak cała działalność translatorska. Od tej pory praca filozofa dokonującego nowego przekładu dzieła z greki lub łaciny, historyka idei lub socjologa tłumaczącego na język polski trudny, wymagający dużej erudycji tekst z rosyjskiego, angielskiego czy niemieckiego jest bezużyteczna, gdyż nie stanowi wkładu do uzyskania habilitacji. Według punktacji absolutną stratą czasu jest pisanie wstępów do książek (włączając wstępy do książek najwybitniejszych twórców światowej humanistyki), ponieważ są poza punktacją, jak również publikowanie w pracach zbiorowych, za co przysługują zaledwie trzy punkty. Gdyby konsekwentnie podążać za logiką punktacji, humaniści nade wszystko powinni uczestniczyć w projektach programu ramowego (granty europejskie), gdyż to daje sto pięćdziesiąt punktów (co odpowiada dwunastu monografiom w języku polskim i sześciu w języku angielskim), lub zatrudniać się w roli koordynatorów lub kierowników projektów, za co można uzyskać czterysta punktów.

Absurd nowego systemu sprawia, że monografie, tworzące kanon nauki, będące podstawą narracji historycznej i literackiej, staną się zadaniem dla hobbystów, podczas gdy reszta podryfuje w kierunku

międzynarodowych grantów. Czyżby do grona filatelistów i wielbicieli złotych rybek mieli dołączyć piszący książki humaniści?

Wizerunek współczesnego humanisty

Wedle definicji Izabeli Wagner ponadnarodowy profesjonalista jest:

„(...) osobą, która kształciła się w różnych krajach i ścieżki jej kariery zawodowej zdeterminowane są wielokrotnymi doświadczeniami mobilności (geograficznej). Transnarodowy profesjonalista jest członkiem międzynarodowego zespołu, przynależy do międzynarodowych sieci i ma afiliacje z instytucjami działającymi w różnych krajach, i/lub pracuje w międzynarodowych instytucjach” [9].

Na Zachodzie Europy, gdzie system punktacji wprowadzono już wcześniej, doszło do poważnej zmiany stylu życia i aspiracji naukowców. Transnarodowy humanista uczestniczy w dużych grantach naukowych i kieruje nimi, za co pracowicie zdobywa kolejne punkty. Precyzyjnie planuje swój zawodowy grafik, na dwa lata z góry wpisując kolejne terminy konferencji, grantów, spotkań etc. Zna masę podobnych do siebie ludzi, na spotkanie których przemierza nieprawdopodobnie długie trasy. Jednak czy nowa generacja *transnational professionals* zmienia paradygmaty badawcze, opracowuje oryginalne koncepcje, inspiruje interesującymi ujęciami tematu? Wydaje się, że nie. Podróżowanie, spotykanie się, konferowanie, stało się dla pokaźnej liczby reprezentantów tej grupy celem autotelicznym. Towarzyszy mu korporacyjna dyscyplina pracy, która ma niewiele wspólnego z oryginalną twórczością. Ktokolwiek uczestniczył w międzynarodowych konferencjach, wie, z jakim zadowoleniem i zapałem młodzi naukowcy posługują się nowomodnym żargonem, za którym często kryje się poznawcza pustka. Ironia historii sprawiła, że na przeciwległym biegunie zakompleksionego naukowca z Europy Wschodniej pojawił się jego konkurent – prowadzący nomadyczny styl życia, pewny siebie, sprawny w korporacyjnym działaniu profesjonalista.

Ucieczka myślenia z uniwersytetu

Polska nauka i przekonanie o „dostojeństwie uniwersytetu”, które sugestywnie wyraził w swojej przemowie profesor Kazimierz Twardowski z okazji nadania mu tytułu *honoris causa* w 1932 roku na Uniwersytecie im. Jana Kazimierza we Lwowie, ukształtowały się pod wpływem systemu nauki niemieckiej w XIX wieku. Obecne reformy zbliżają polską naukę do wariantu anglosaskiego, gdzie ważniejsze od głębi i dostojeństwa były innowacyjność badań i współpraca – w przypadku humanistyki nader problematyczna – z rynkiem. Proces reformowania instytucji naukowych w Polsce nałożył się na analogiczny proces w Europie, którego efekty już widać. Dlatego należy obserwować z uwagą zachodnie uczelnie i korzystać z ich systemowych doświadczeń, ale w sposób selektywny. Nie wszystko, co na Zachodzie funkcjonuje dobrze, będzie się sprawdzało w polskich warunkach, nie wszystko zasługuje na naśladowanie, pomimo że istnieje zagranicą. Indeks cytowań w humanistyce, który zaczyna raczkować w Polsce, na Zachodzie, zamiast zwalczyć patologie (do których należała produkcja prac o nikłym odbiorze), zrodził nowe. Proceder cytowania twórczości znajomych i przyjaciół, bez względu na wartość merytoryczną dzieł przez nich stworzonych, kwitnie na Zachodzie i nie ma na niego skutecznego antidotum. Sama idea transnarodowego naukowca jest co najmniej dwuznaczna i zasługuje na krytykę. O statusie tym przesądzają dzisiaj czysto zewnętrzne czynniki, przede wszystkim instytucjonalna afiliacja, podczas gdy idea nauki z definicji przekraczającej narodowe bariery płynie, jak powiadał Dilthey, z doświadczenia wewnętrznego, wyraża się przede wszystkim w myśleniu. Niegdyś humanistyka opierała na istnieniu szkół filozoficznych i historycznych, seminariach, które obrastały legendą, i bezpośrednich relacjach mistrz – uczeń. Nie każdy mógł doświadczyć bycia uczniem i nie każdy zasługiwał na miano mistrza, ale nie ma powodu, żeby ten wzorzec uprawiania nauki odrzucać na rzecz „transnarodowych profesjonalistów”. Wyraźnie preferowana wąska specjalizacja w humanistyce wyklucza to, co za Johanem Huizingą, autorem *Jesieni średniowiecza*, nazwać można „intelektualnym włóczęgostwem”, czyli szerokimi zainteresowaniami badawczymi, które pozwalały na pisanie interesujących, przecinających całe epoki syntez. Nie wiadomo, czy w systemie zcentralizowanej i zglobalizowanej humanistyki, poddanej terrorowi odgórnie rozpisanych grantów, presji intelektualnych mód, znajdzie się miejsce na bogatą, oddolną, zróżnicowaną narrację. Międzynarodowy system grantów z

pewnością nie zastąpi też umiejętności samodzielnego myślenia, a wiele wskazuje na to, że może je osłabić. Profesor Małgorzata Kowalska zauważyła, że:

Humanistyka znajdzie się (...) między młotem a kowadłem: będzie musiała być albo paratechnologią i współpracować z rynkiem, albo być zależna od aktualnych ekip rządzących i od ich ideologicznych priorytetów” [10].

Studia wyższe nie powinny być przechowalnią młodzieży i osłoną przed bezrobociem, ponieważ nie taka jest ich rola i powinność

Zamiast upartego dryfowania w kierunku masowych studiów należy, wzorem Niemiec, wzmocnić szkolnictwo średnie, odbudować jego etos

i znaczenie. Studia wyższe nie powinny być przechowalnią młodzieży i osłoną przed bezrobociem, ponieważ nie taka jest ich rola i powinność. Jeśli narzekamy na słaby transfer idei, historycznych doświadczeń Polski i innych krajów naszego regionu na Zachód, to w znacznej mierze odpowiada za to nieumiejętność łączenia kompetencji warsztatowych i pisarskich przez polskich naukowców. Techniki pisarskiej nie uczą się studentów ani doktorantów, nie egzekwuje się jej na dalszych etapach kariery naukowej. Tymczasem dobre, sprawne pisarstwo jest znakomitym narzędziem popularyzacji rodzimej humanistyki na Zachodzie. Żadna reforma nauki nie powiedzie się, gdy z budżetu państwa będzie skapywało pół procenta PKB na naukę, gdy nie będzie programów dotujących translacje na języki obce, wydawnictw naukowych z dobrą dystrybucją, ale przede wszystkim merytorycznej oceny osiągnięć, której nie zastąpią żadne wydumane parametry.

Wydaje się, że najistotniejszym zadaniem obecnej i przyszłej reformy humanistyki w Polsce jest zatrzymanie procesu, który za filozofem Piotrem Nowakiem można nazwać „ucieczką myślenia z uniwersytetu”. Krytyczne myślenie wraz z umiejętnością stawiania nowych pytań badawczych ogniskuje się już teraz poza skostniałymi instytucjami naukowymi. Współcześnie najżywszych intelektualnych środowisk nie tworzą uniwersytety, ale redakcje czasopism. Sytuacja przypomina

przełom XIX i XX wieku, kiedy intelektualiści nad przyszłością i teraźniejszością nauki debatowali w redakcjach czasopism „Głosu” i „Prawdy”. O ile jednak za tamtą sytuację odpowiadała polityka zaborcy, o tyle za obecną „ucieczkę myślenia uniwersytetu” odpowiadamy, najkrócej ujmując, my sami.

Magdalena Gawin

Tekst pochodzi z książki *Bilet do nowoczesności* dostępnej w księgarni Teologii Politycznej

[1] Korzystałam z: P. Nowak, *Wolność i Uniwersytet*, „Kronos”, nr 1 (2011), s. 216–217; *Przyszłość Uniwersytetu. Debata z udziałem Włodzimierza Boleckiego, Tadeusza Gadacza, Małgorzaty Kowalskiej, Jacka Migasińskiego i Piotra Nowaka*, „Kronos”, nr 1 (2011), s. 218–242; I. Wagner, *Becoming Transnational Professional. Kariery i mobilność polskich elit naukowych*, Warszawa 2011; *Kariera naukowa w Polsce. Warunki prawne, społeczne i ekonomiczne*, red. S. Waltoś, A. Rozmus, Warszawa 2012.

[2] *Przyszłość uniwersytetu...*, dz. cyt., s. 225.

[3] I. Wagner, *Becoming...*, dz. cyt.

[4] Tamże, s. 155.

[5] Tamże, s. 156.

[6] Tamże, s. 215.

[7] Tamże, s. 192.

[8] Tamże, s. 216.

[9] Tamże, s. 20.

[10] *Przyszłość uniwersytetu...*, dz. cyt., s. 224.